

# Zielony długopis Barańczaka

Rozmowa z Lechem Raczakiem

## Kiedy i w jakich okolicznościach poznał Pan Stanisława Barańczaka?

To zabawne. W czasach licealnych wziąłem udział w konkursie na recenzję teatralną. Dostałem w nim trzecią nagrodę, a pierwszą otrzymał niejaki Stanisław Barańczak. I właśnie wtedy zetknąłem się po raz pierwszy z tym nazwiskiem...

♦♦♦

Potem spotkaliśmy się na polonistyce w Poznaniu, na pierwszym roku. Stanisław zdał tak rewelacyjnie egzaminy wstępne, że profesorowie postanowili stworzyć elitarną grupę skupioną wokół niego – ale to wyszło na jaw później.

## Ciekawy eksperyment.

Też należałem do tej grupy. Pierwsze lata na studiach spędziłem więc w jednej ławce z Barańczakiem. Wśród nas, na roku, choć w innej grupie, był Tomasz Szymański, pasjonat teatru, kolega ze szkoły średniej, który wystąpił z inicjatywą powołania teatru studenckiego. Tak powstał Teatr Ósmego Dnia. Wśród jego założycieli był Stanisław Barańczak i koleżanka z drugiego roku, Anna Bryłka, przyszła żona poety, która świetnie grała na fortepianie. Stanisław był kimś w rodzaju kierownika literackiego, ja natomiast – aktorem. Połączyły nas więc dwie rzeczy: studia polonistyczne i teatr.

## Jakim był kolegą?

Wykorzystywaliśmy go [*śmiech*]. Przed egzaminami pełnił funkcję korepetytora, a my w zamian uczyliśmy go grać w karty. A jako kolega? Niczym się nie wyróżniał. Był niewysportowany, źle się poruszał i w związku z tym czasami wymagał pewnego rodzaju opieki. Nie palił, nie pił, co było w tamtych czasach absolutną rzadkością. Był więc trochę za porządnym, ale rekompensował sobie to na przykład tym, że miał zawsze pierwszy nowe płyty Beatlesów i tłumaczył nam ich teksty – dzięki temu byliśmy lepiej zorientowani w meritum od kolegów. Sam zresztą grał na trąbce, co jednak ukrywał. Mam jedną anegdotę, która go dobrze charakteryzuje.

Wchodząc do czytelni Biblioteki Uniwersyteckiej, trzeba było się wpisywać do książki. Barańczak miał bardzo charakterystyczne drobne pismo, używał też zawsze zielonego długopisu i podpisywał się za każdym razem innym nazwiskiem: jako Krzysztof Kolumb, Izaak Newton, Wolfgang Amadeusz Mozart, John Lennon i tak dalej – po tym rozpoznałem, czy jest już na miejscu [*śmiech*]. No i gadało się z nim bardzo dobrze. O sztuce, literaturze, polityce. Tam był taki klubik, gdzie schodzili się wszyscy nasi koledzy i koleżanki – poeci, początkujący dziennikarze, aktorzy teatrów studenckich. Piliśmy kawę, herbatę, strasznie dużo paliliśmy i gadaliśmy. O wszystkim w zasadzie. Stanisław tam często z nami przesiadywał. W czytelni z łatwością rozpoznawałem książki, które przeczytał wcześniej: zielonym długopisem poprawione w nich były literówki, których nie dojrzała profesjonalna korekta wydawnicza.

**Gdzie jeszcze spotykał się Pan z Barańczakiem?**

W ich mieszkaniu. Przy ulicy Kościuszki 110. Zajmowaliśmy wtedy gabinet jego mamy, pani Zofii.

**Stomatologiczny?**

Tak. Gdy Barańczak prowadził dla nas wykłady, zasiadał w fotelu dentystycznym... Spotykaliśmy się także w klubie OdNowa, ale on bywał tam rzadko... W późniejszych latach jeździliśmy czasem na osiedle Kopernika, na ulicę Newtona, gdzie wynajmowali mieszkanie w bloku. Nasza relacja z czasem się trochę rozluźniła z tego względu, że on ostatnie dwa lata zrobił w przyspieszonym trybie, wypadł więc z normalnego toku studiowania. Poszedł też na inne seminarium niż ja.

**Wróćmy do wątku teatralnego.**

W 1967 roku do naszego teatralnego zespołu dołączył Zbigniew Osiński, który był asystentem na polonistyce. Zaczął robić *Warszawiankę* Wyspiańskiego metodą zbliżoną do metody Jerzego Grotowskiego. Osiński był znawcą Grotowskiego. W zespole wyodrębniła się grupa, która przestała być zainteresowana teatrem poezji Szymańskiego i która jednocześnie chciała kontynuować działania z Osińskim. Zrodził się więc wewnętrzny konflikt. Barańczak był po stronie Osińskiego, wkrótce zrezygnował ze współpracy z Szymańskim i równocześnie odszedł z Teatru Ósmego Dnia. Niemniej chodził na nasze przedstawienia i ciągle z nami dyskutował. Co więcej, któregoś razu wręczył mi maszynopis zbioru wierszy *Jednym tchem*, a ja to włączyłem do powstającego spektaklu.

**Jak to było z tym przedstawieniem?**

Myśmy wtedy pracowali nad spektaklem, który miał nosić tytuł *Krwiodawcy*. Rzecz miała opowiadać o naszej rzeczywistości, o roku 1968. Wówczas właśnie Barańczak dał mi ten maszynopis. W trakcie roboty wydarzył się Grudzień '70 i nieoczekiwanie temat nam się bardzo zdramatyzował. Poetycka hiperbola zabrzmiała wtedy reportażowo i dlatego zdecydowaliśmy się wykorzystać te wiersze.

**Wspomniał Pan wcześniej o Grotowskim, który w swym podejściu do pracy nad przedstawieniem oraz pracy z aktorem jest bardzo cielesny, podobnie jak Barańczak w swej poezji (od samego początku). Czy ta somatyczność jego wierszy was interesowała?**

Tak! W *Jednym tchem* coś się zmieniło w poezji Barańczaka. Przedtem była sucha, skrywająca emocje, mało cielesna, papierowa. Dostrzegalem tam przede wszystkim intelektualną grę ze słowem, językiem. Natomiast po Marcu do jego wierszy wkracza fizyczność, brutalność, krew, ból. Pojawia się biologiczna gra pomiędzy ziemią a tym, co na niej. Nie wiem, czy to miało coś wspólnego z Grotowskim, choć znał jego teatr, był nim przejęty. W drugiej połowie lat 60. nagle pojawiło się w polskiej kulturze, sztuce, literaturze słowo „prawda”. U Grotowskiego jako prawda człowieka, naga prawda istnienia ludzkiego, którą trzeba wydobyć w teatrze. Natomiast poetom Nowej Fali chodziło o prawdziwy opis świata. Teatrowi Ósmego Dnia te dwie prawdy nakładały się na siebie. Teatr i poezja to były dwa najważniejsze źródła myślenia o prawdzie.

**Spektaki odniósł wielki sukces...**

On skupiał wszystkich w całej Polsce! Graliśmy go na różnych festiwalach. Pamiętam tę atmosferę. To były tłumy ludzi, których nie szło wepchnąć do sali. Na każdy spektakl przychodziło 1000 osób, choć miejsc było dla 200. Miały miejsce dantejskie sceny. Widzowie stali, siedzieli, wisieli. Graliśmy dodatkowe spektakle, a i tak to było za mało. Jakimś cudem przeszło to przez cenzurę i potem nikt nie mógł już nas zatrzymać. Ukazało się kilka recenzji, w których autorzy pisali, że spektakl jest dowodem na to, iż ekipa Gierka zmienia nam świat na lepsze. Bardzo mi się to nie podobało, dlatego stworzyliśmy drugą część z nowymi wierszami Barańczaka. Spektakl nosił tytuł *Codzienny marsz* i oznajmiał, że nic się nie zmienia.

**Barańczak i polityka.**

Polityka zaistniała bardzo mocno w naszym życiu w 1968 roku. Wcześniej polemizowałem ze Stanisławem w trakcie rozmów na ten temat.

**To znaczy?**

Nie miałem żadnych złudzeń co do systemu politycznego, a on na początku naszej znajomości utrzymywał, że system jest reformowalny, że trzeba być aktywnym w publicznych instytucjach. Wstąpił nawet do partii, o co się strasznie pokłóciliśmy – nie na długo, tylko tak, żeby się wyładować. Po wydarzeniach Marca 1968 roku stracił jednak na zawsze zaufanie do systemu. W 1971 albo 1972 roku zagraliśmy *Jednym tchem* w warszawskiej Stodole. Na spektaklu pojawili się „komandosi”, czyli Jacek Kuroń, Janek Lityński, Karol Modzelewski i Adam Michnik. W ten sposób nawiązaliśmy pierwsze kontakty. Potem, w 1976 roku, powstał KOR, do którego Barańczak wstąpił, mając pełną świadomość, że ta decyzja może całkowicie zniszczyć jego uporządkowany świat. Stał się wówczas jednym z nielicznych jawnych opozycjonistów w Poznaniu.

♦ ♦ ♦

**Pamięta Pan swoje ostatnie z nim spotkanie?**

Pamiętam. Byłem wtedy po zawale. Odwiedzili mnie z Anią w domu. „Umówiliśmy się, że nie będziemy robić sobie takich numerów. Nie pamiętasz?” – tak mnie przywitał. To było chyba w 1994 roku.

29 stycznia 2015 roku, Centrum Kultury Zamek, Poznań